



Rozdział VI

Yowamushi był zapalonym miłośnikiem zawodów sportowych. Już od dziecka interesowały to wszelkie formy współzawodnictwa, jakie wypracowała ziemska cywilizacja – w taki sposób o tym myślał. Nie był zwykłym kibicem – jako cherlawe dziecko, obdarzone za to byстрым umysłem, ekscytował się społecznym fenomenem tego zjawiska... nawet jeżeli nie potrafił wtedy ubrać tego w tak zgrabne słowa. Teraz, w dorosłym życiu, był szanowanym profesorem Uniwersytetu w Satan City... z ukrywaną w inteligenckim środowisku pasją do oglądania sportów.

Kiedy wygrał w losowaniu bilet na Najwspanialszy Turniej Sztuk Walki, bez wahania odłożył na bok wszelkie naukowe sprawy i spotkania, by udać się na miejsce i obserwować widowisko, o którym w pewnych kręgach tak wiele się mówiło.

To było na prawdę niesamowite wydarzenie! Tylko, że nie zawsze mógł dostrzec to, co się dzieje., jakby niektórzy zawodnicy poruszali się o wiele szybciej, niż były w stanie zarejestrować jego oczy. Do tego ten pojawiający się znikąd wiatr i kurz wzbijany z powierzchni areny czasami uniemożliwiał obserwację, dokładnie tak, jak teraz... Poza tym czasem dostrzegał coś specyficznego, jakąś formę świetlistej luminacji, co budziło w nim podejrzenia, jakoby to nie były prawdziwe zawody, a jedynie teatr wykorzystujący efekty specjalne... ich organizacją zajmował się jednak sam Pan Sztab, bohater całej Ziemi, więc nie mogło to być oszustwo.

Czasami dopadały to szepty, niezadowolona głośy wyrażające wprost jego wątpliwości, jednak szybko były uciszane przez widzów, którzy – zdawało się – Nie pierwszy już raz oglądali Turniej. Do tego nawet ci narzekający czekali na to, co będzie dalej.

Kurz powoli opadał. Już widoczne były sylwetki dwojga uczestników.

Wtedy profesor przypomniał sobie o pewnej pracy, którą nie tak dawno wygłosił na sympozjum jeden z uniwersyteckich wykładowców...

Najstarszy Nameczanin był zaniepokojony.

A kiedy on był zaniepokojony, zaniepokojeni byli wszyscy Nameczanie.

Spodziewał się, że wizyta ziemskich wojowników dysponujących tak wielką siłą może nieść pewne konsekwencje w postaci destrukcji pewnych skrawków krajobrazu, jednakże kiedy zatrzęsa się Ziemia obawiał się o los całej planety. Wstrząsy wkrótce ucichły, jednak pozostała świdrująca umysł myśl: „Co spowodowało, że musieli użyć takiej siły”. Żałował, że jego zazwyczaj nieodłączni ochroniarze nie są przy nim, jednak musiał kogoś wysłać do

miejsca ukrycia ostatniej smoczek kuli, po tym jak pojawiło się to nieprzyjemnie uczucie, niemal pewność, że i ona zaginęła...

Jego posłańcy nie wracali zbyt długo. To mogło oznaczać tylko tyle, że i ta kula zaginęła. Ach, gdyby tylko poprzedni Najstarszy tu był... potrafił utrzymać kontrolę nad swoim ludem, za jego życia taka sytuacja nigdy by się nie wydarzyła.

Chyba, że też miałby kłopot z nowym pokoleniem.

Najstarszy był pewien, że to jeden z nich stoi za wykradaniem kul – nie pozwalało mu to w pełni zaufać żadnemu z nich. Nawet jego straż nie wiedziała, choć rekrutowana z młodych i silnych Nameczan, gdzie i komu polecił ukrywać ostatnią kulę. Był jeszcze jeden powód, który wywoływał i niego podejrzliwość – miał trudności z wyczuwaniem miejsc, gdzie przebywają Nowi Nameczanie.

Mógł próbować zorganizować przeszukania, wystawić strażę, zareagować w jakikolwiek sposób, w jaki najpewniej zareagowałiby przedstawiciele innych ras, chociażby ludzi. Tyle, że Nameczanie nie postępowali w ten sposób. Była między nimi wszystkimi szczególną więź, on zaś wszystkich traktował jako własne dzieci – nawet, jeżeli jakieś miałoby zbłądzić. Do tego było ich o wiele zbyt mało i byli zbyt słabi, by prowadzić skutecznie tego typu działania. Co innego Ziemianie i ich radar...

Usłyszał jak dwóch jego obrońców ląduje tuż obok budynku. Wiedział już dobrze, co mają mu do przekazania.

- Najstarszy – zaczął jeden z nich, gdy padli przed nim na kolana – kula zaginęła.

Wódz westchnął.

Ktokolwiek je zbierał, teraz ma już wszystkie. Sprawa zbliżała się ku końcowi i dziwiło go tylko uczucie ulgi, które zakwitło w jego sercu.

Kurz chciał za wszelką cenę przysłonić pole walki, jakby jakiś złośliwy wietrzny duch próbował uniemożliwić obserwację tego, co działo się na arenie. W końcu jednak grawitacja zwyciężyła i opadł, by stać się na powrót tylko ledwie zauważalna warstwą pokrywającą powierzchnię areny.

Nim zasłonił ich całun pyłu, stali tuż obok siebie, mierząc się w pojedynku – teraz dzieliły ich metry. Nie wiadomo, co się stało w międzyczasie, jednak nadal obydwójce utrzymywali się na nogach.

Choć jeżeli chodzi o Pan, to ledwo stała.

Kame-hame-ha którą próbowała wykonać pochłonęła resztkę jej sił. Nie była w stanie nawet wykonać kroku, tym bardziej obronić się przed kolejnym ciosem. Mimo, że werdykt jeszcze nie padł, poczuła gorzki smak porażki.

- To już koniec. – Gohan wydawał się zbyt spokojny jak na to, co zaszło. – Pan nie da rady dłużej walczyć.

Videl odpowiedziała mu coś, jednak jej słowa zniknęły w szumie głosów. „Czemu nic nie widzimy?”, „Co się działo?”, „To nie fair”, „Zapłaciłem za widowisko!”, „Zróbcie coś!” nosiły się

przez trybuny coraz głośniejsze krzyki niezadowolenia.

Pan i Sauce Lee nadal stali naprzeciw siebie, rozdzieleni dystansem, jaki pozwalał na złudzenie, że nim zamaskowany wojownik zaatakuje, Pan zdąży zrobić unik. Ten jednak nie wyglądał, jakby szykował się do ataku. Stali tak przez chwilę, a tłum był coraz bardziej niezadowolony... aż w końcu między zawodników wpadł komentator. Pan mogła dostrzec pot na jego czoła, tak się obawiał wchodzić na ring.

- Panie i Panowie. – rozpoczął drżącym głosem, z całych sił próbując zachować profesjonalizm. – Ze względu na wyjątkowe okoliczności, jakie towarzyszyły tej walce, organizatorzy turnieju postanowili przerwać pojedynek. Tak, to niespotykana sytuacja! Szczerze wszystkich przepraszamy, jednak zawody wymagają niewielkiej przerwy. – widząc, że wojownicy nie mają zamiaru kontynuować walki nabrał rezonu. – W tym czasie arena zostanie uprzątnięta. – widzowie nie wyglądali na szczęśliwych, jednak głosy niezadowolenia ucichły. – Tymczasem, po raz pierwszy w historii, ogłaszam remis! – dokończył w charakterystyczny dla siebie, pełen charyzmy sposób.

Widzowie byli zbici z tropu, nie wiedzieli jak mają się zachować. Ci, którzy obstawiali wynik starcia pognali do bukmacherów, żeby odzyskać swoje pieniądze. Reszta zaczęła powoli się rozchodzić.

- Jak najszybciej poinformujemy o wznowieniu walk. Tymczasem zapraszam państwa do części rozrywkowej! – obwieścił jeszcze spiker i zniknął.

Tylko zawodnicy zostali na swoich miejscach.

Gdy już nikt nie zawracał sobie głowy obserwowaniem areny – nawet Satan i jego wspólnik zniknęli, nie w pełni zadowoleni z obrotu spraw i decyzji, którą musieli podjąć – obok Pań wylądował Gohan.

Objął dziewczynkę, nadal nie odrywając oczu od przeciwnika i przycisnął ją do siebie. W tym momencie, kiedy była już bezpieczna, nogi ugięły się pod nią i runęłyby na ziemię, gdyby nie ojcowskie ramię.

- Już po wszystkim, kochanie. – odezwał się ciepłym głosem. – Nie przegrałaś tej walki. – pocieszał ją. – Damy ci senzu i w parę chwil wydobrzejesz.

Sauce Lee kiwnął głową i powoli odchodził. Gohan parę sekund wpatrywał się w jego plecy, po czym zabrał córkę do wyjścia.

Przyjaciele już na nią czekali w apartamencie, jaki Satan oddał im do dyspozycji. Choć miejsca wybrali jak zwykli widzowie, a Pan startowała w turnieju jak każdy kandydat, mieli dzięki wpływom dziadka pewne przywileje. Mimo, że nie spotykali się często w takim gronie, turniej sztuk walki był doskonałą okazją, by podtrzymywać kontakty – do tego liczne przygody i wspólne ratowanie świata, oraz pasją do walki, która łączyła większość, stanowiła mocny fundament ich relacji. Dlatego, mimo tak wielkiej skali siły, otaczał najmłodszą wojowniczkę prawdziwą troską.

Pan padła na wznak w ogromne łóżce i tak zastygła. Gdyby nie miarowe wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej, wyglądałaby jak martwa. Tkwiła w bezruchu a jej ciałem władał ból.

W głowie zaś tkwiło wspomnienie walki, w której została całkowicie zdominowana przez przeciwnika. Gdyby tylko chciał, w każdej chwili mógł zakończyć ten pojedynek i skrócić jej męki, mimo to pozwalał jej próbować, czekając chyba aż padnie z wycieńczenia. To było okrutne.

- Wiedziałam, że to się tak skończy! – krzyczała Videl. Była wściekła na siebie, że pozwoliła swojej małej córce na udział w turnieju z dorosłymi. Przekonały ją zapewnienia, że Pan jest niesamowicie silna i nic jej nie grozi, że nikt nie zrobi jej krzywdy. Jeszcze bardziej wściekła była na Gohana, który nic nie zrobił. W nosie miała zasady turnieju, kompletnie nie myślała o tym, że jej córka w każdej chwili mogła wycofać się z walki. To oni byli jej rodzicami i za nią odpowiadali, do cholery! – A ty nic nie zrobiłeś!

Gohan spojrzał tylko na żonę wzrokiem, w którym nie było chęci do kłótni.

- To była ważna lekcja dla Pan. – odparł spokojnie. – Teraz będzie wiedziała, jak wygląda prawdziwe życie wojownika.

- Życie wojownika... – zaczęła Videl, ale nie miała szansy dokończyć. Przez okno apartamentu do środka wleciał Krilan.

- Udało mi się! – powiedział o uśmiechem. – Mam fasolkę! – rzucił niewielką czerwoną bryłkę do Gohan A, a ten złapał ją w locie. – Nie było łatwo... Karin trzyma je na wyjątkowe okazje, ale udało mi się to jakoś przekonać. – uśmiechnął się szelmowsko.

- Musisz to przerzucić i połknąć. – poinstruował córkę. – Od razu zrobi ci się lepiej.

Pan z wysiłkiem przyjęła fasolkę i walcząc z odruchem wymiotnym połknęła ją. Na początku nic się nie działo, a potem... jakby zakiełkowało w niej czyste światło. W jednej chwili odegnało zmęczenie i ukoilo rany. Powracająca siła rozlała się przyjemnym ciepłem po ciele, wlewając wigor we wszystkie członki, aż niedawny stan wycieńczenia został tylko wspomnieniem.

Dziewczynka zerwała się z łóżka i usiadła obok taty i przytuliła go.

- Mamo, nie bądź zła. –zrobiła tę skruszona minę, na którą Videl zawsze dawała się złapać.

- Nie jestem zła, kochanie. – kobieta uśmiechnęła się promiennie. Gniew szybko jej przechodził. – Nie musisz już dłużej brać udziału...

- Ale ja chcę! – przerwała jej Pan. – Do tego czuję, że kolejnym razem pójdzie mi lepiej! Że jestem...

- Silniejsza? –wtrąciła Dwu, która także była na miejscu. - Goku wspominał kiedyś, że gdy saianin znajdzie się u progu śmierci i przetrwa, jego siła wzrasta.

Buzia dziewczynki rozpromieniła się. Czyli ten cały ból i trud nie poszedł na marne! Od razu nabrała ochoty do kolejnego starcia. Videl dostrzegła ten płomień w jej oczach i uznała swoją porażkę. Skoro sama Pan tego chce...

Uwagę wszystkich przyciągnął hałas na korytarzu. Ktoś wyklócał się z ochroniarzem. Nie musieli długo czekać, by przekonać się, kto to – zaraz drzwi do apartamentu wyleciały z łoskotem i do środka, roztracając Yamche i Oolongę, wpadła Chi-Chi.

- Co z moją wnusią?! – wrzeszczała. – Biedna Pan, widziałam wszystko w telewizji, od razu tu przyleciałam i... –dopiero zauważyła wnuczkę, która już dziarsko prezentowała swoją

sprawność. – Nic ci nie jest... No tak. – dodała po namyśle. – Senzu. Całe szczęście.

- To jakaś magia je. – odezwał się Niedźwiedź, do tej pory siedzący w kącie. Wszyscy na raz odwrócili się w jego stronę, dopiero zdając sobie sprawę, że ktoś tam jest i że to nie tylko element wystroju. – Ja z magio wole nie mieć nic wspólnego. Żar żem spotkał czarownice i...

- Co to za jeden? – Chi-Chi odrzuciła to lodowatej spojrzeniem, aż zamilkł.

- To pan miś. – radośnie odpowiedziała kilkulatka. Po czym na raz jej twarz zmieniła wyraz na całkiem poważny i nader jak dla niej dojrzały. – Panie Tenshinhan, Pani C18, chcę was o coś prosić.

- Nie martw się. – uprzedziła jej prośbę Osiemnastka. – Nie dam ci wygrać, jeśli się wylosujemy, ale nie sprawie ci takiego manta.

- Nie! – krzyknęła dziewczynka. – Chcę, byście walczyli ze mną na poważnie! – była urażona, że została źle zrozumiana.

- Obiecuję ci dobry pojedynek. – odpowiedział teatralnej Tien, którego trzecie oko nadal pozostawało zamknięte. – Jesteś godnym przeciwnikiem i prawdziwym wojownikiem.

Chi-Chi spojrzała na niego z ukosa, on jednak nic sobie z tego nie robił. Wytrzymał pod jej wzrokiem nic sobie z niego nie robiąc. Tajemnicą dla wszystkich było to, czym Tenshinhan i Chaozu i zajmowali się przez ostatni czas, jednak byli wyraźnie odmienieni. Szczególnie trójki wojownik.

- Pozostaje jedno pytanie. – Chi-Chi dała za wygraną w pojedynku na spojrzenia. Miała o wiele ważniejszą kwestię na głowie, niż słowne utarczki z niereformowalnymi bumelantami, towarzyszami jej męża po fachu – Kim jest ten zwyrodnialec, który miał czelność tak urządzić moją wnusie? !

Brzdęk.

Coś w oddali – a może całkiem blisko, jaskinia lubiła igrać z ich oceną odległości – spadło z łoskotem z góry, odbijając się od pordzewiałych elementów hydraulicznej konstrukcji. To nie był pierwszy taki dźwięk. Dochodziły co i raz z różnych kierunków, w miarę jak posuwali się dalej. Może to miejsce posiadało jakąś dziwną formę świadomości, która starała się ich wystarczyć, może to była jakaś forma ostrzeżenia od losu... albo coś ich otaczało.

- Nigdy ich tutaj nie znajdziemy. – Dende próbował przemówić Bulmie do rozumu, do tej pory jednak bezskutecznie. Choć była jednym z najtęższych umysłów na Ziemi, pozostawała przy tym kobietą z nieustępliwym charakterem i gdy czegoś chciała, żaden racjonalny argument nie potrafił odwieść jej od tego pomysłu. Jeżeli fakty były przeciw niej, to tylko tym gorzej dla faktów. – Te jaskinie ciągną się w nieskończoność. Nawet nie mamy pewności, że nasze korytarze się łączą.

Bulma jednak ani myślała wracać, nawet mimo strachu, który kiełkował w niej wraz z każdym usłyszonym szmerem i dźwiękiem, którego źródło było ukryte przed wzrokiem. Chwytała wtedy nerwowo ramienia swojego nameczańskiego towarzysza, jednak po chwili odzyskiwała

spokój ducha i znów dawała się ponieść przygodzie – a ta prowadziła ich dalej i dalej w głąb kosmicznych ruin.

- To niesamowite. – zachwycła się. – Całe miasto ukryte tuż pod waszymi stopami. Ciekawe co zakończyło ich istnienie.

- Nie za bardzo mnie to interesuje. – odpowiedział, pragnąc zakończyć temat. – I nawet się cieszę, że już ich nie ma. Zbyt przypominają Changellingów...

- Rasę Freezy? – niedowierzała. – Też mają rogi i ochronny segment na głowie, ale nie widzę więcej podobieństw. Nawet nie mają ogonów.

- Mają taką samą... morderczą aurę. – odparł Dende, nie potrafiąc lepiej ująć tego, co mu się w zasadzie nie podobało w fizjonomii rogatych obcych. Wystarczało mu, że natrafili na tyle wizerunków istot z bronią, oraz na pozostałości po jakiegoś rodzaju biżuterii, wykonanej z kości, albo (co bardziej prawdopodobne, skoro przetrwała tak długo) stylizowanej na taką. Do tego te strzeliste iglice i baseny pod nimi... oczami wyobraźni wiedział, jak rogate demony nabijają na nie Nameczan niczym na rożen, a potem kąpią się w spływającej krwi. To mogła być tylko jego wyobraźnia, podsuwająca mu makabryczne obrazy pod wpływem niepokoju, jednak miał niemiłą pewność, że nie minął się zbytnio z prawdą.

- Zobacz, to chyba coś w rodzaju telewizora! – wskazała na przedmiot ustawiony we wnęce w jednej z witryn tutejszych odpowiedników sklepów. – Zobacz, przy nim także świecą się te lampy! Może jest podłączony?

Nameczanin chciał ją odwieść od dotykania czegokolwiek, jednak było to równie bezcelowe jak próba ustrzeżenia ciekawskiego trzylatka przed wetknięciem nożyczek do kontaktu – im mocniej chciał jej coś wyperswadować, tym bardziej chciała akurat to zrobić.

Skończyło się na tym, że tkwili przed pozbawioną (a może nigdy jej nie miała?) szyby witryną, a niebieskowłosa naukowiec obmacywała obudowę prostopadłościanu z czarnego niby-plastiku w poszukiwaniu jakiegoś włącznika.

- Nawet jeśli to zadziała, to przecież nic już nie nadają...

- O! Tu coś jest! – przekreśliła jakąś część i pociągnęła do siebie.

Ekran rozblysnął, najpierw jednolitym zielonkawym blaskiem, później wyodrębniały się z niego poszczególne kolory. Do tego urządzenie musiało posiadać wbudowany głośnik, bo z miarowych trzasków uformował się rytm właściwy dla mowy, zaś w cyklach charkotu i powarkiwań dało się dosłyszeć jakąś logiczną formę uporządkowania.

- Chyba już coś widzę... – kobieta-naukowiec wyęczała wzrok, próbując rozpoznać kształty, które przelewały się przez ekran, ciągle nabierając ostrości i kontrastu. Telewizor, na jakiegokolwiek zasadzie działał, rozgrzewał się powoli, ale samo to, że udało się to uruchomić po tysiącach (dziesiątkach tysięcy?) lat ukazywało kunszt tej technologii. Wraz z obrazem poprawiała się jakość dźwięku i już po paru chwilach mogli w pełni wyraźnie widzieć i słyszeć to, co urządzenie miało im do pokazania.

„Unsere Stärke ist unsere Schnelligkeit und unsere Brutalität! Ich habe den Befehl gegeben – und ich lasse jeden füsilieren, der auch nur ein Wort der Kritik äußert – daß das Kriegsziel

nicht im Erreichen von bestimmten Linien, sondern in der physischen Vernichtung des Gegners besteht!”skrzeczał do nich chrapliwy głos w odrażającym języku, którego każde słowo przywodziło na myśl bądź to gradobicie uderzające o przerdzewiałą blachę, bądź rozkaz rozstrzelania. Cieszyło ich, że nie rozumieją, co lektor ma do przekazania – obraz wystarczył im aż nadto.

Na telebimie panował chaos. Chaos wojny, śmierci, przemocy i nienawiści. Obcy uzbrojeni w najróżniejsze rodzaje broni, zakuci w pancerze, zamknięci w niosących śmierć maszynach bez litości mordowali swych wrogów, niszczyli miasta, zabijali dzieci. Świat płonął od horyzontu po horyzont. Nie to było jednak najgorsze. Najbardziej przerażały uśmiechnięte twarze zwycięzców, radość kobiet noszących biżuterię upamiętniającą każdą inną reprezentantów własnego gatunku, zabawa dzieci w zabijanie wroga... I byli niewolnicy. Prowadzili ich rządami. Różnili się od swoich oprawców, czy to kształtem poroża czy kolorem naturalnego pancerza. Zbierali ich w grupy przed fontannami iglic i...

- Dość! – krzyknął Dende i kulą energii wysadził odbiornik.

Stało tak w osłupieniu, przypatrując się jeszcze jak dym unosi wspomnienie tego, co zobaczyli.

- Wracajmy. – powiedziała w końcu Bulma, w której zgasł już zapal do eksploracji. – Poradzą sobie bez nas.

Brzdęk.

Coś w zaułku przed nimi wydało metaliczny odgłos.

Brzdęk.

Uderzyło dźwięcznie coś za ich plecami.

Brzdęk. Brzdęk. Brzdęk.

Otoczyły ich odgłosy w podejrzanym, miarowym rytmie, tak, że to nie mógł być przypadek.

Cienie wystąpiły ze swoich granic i zaczęły się poruszać.

Przypadki do siebie przerażeni. Przed oczami mieli sylwetki rogatych żołnierzy, żadnych krwi.

- Dende, zrób coś!

- Nie jestem wojownikiem!

- Ale byłeś Wszechmogącym! – krzyczała Bulma w panice.

- To tytuł na wyrost. – zdążył jeszcze powiedzieć, nim właściciele cieni ukazało się ich oczom i ciemność spadła im na głowy.

- Witamy Państwa po krótkiej przerwie! Wszelkie problemy techniczne zostały naprawione i już nic nie zakłóci nam widowiska, po już nie niewątpliwie Państwo tutaj przyszli! – krzyczał komentator, próbując poderwać tłum, który jednak nadal zachowywał się powściągliwie, czując jeszcze niesmak po ostatniej walce. – Mam na początek dwie wiadomości. Jeden z uczestników, zawodnik występujący pod pseudonimem Człowiek ze Stali, postanowił wycofać się z turnieju... Jednakże decyzją sędziów dwójka zawodników których widzieliście ostatnio przechodzi do kolejnego etapu, a walki będą ponownie rozlosowane. Tak tak, może jeszcze

spotkają się w walce, możliwe że nawet w samym finale! – publiczność z wolna wpadała w pełne emocji zainteresowanie. Każdy był ciekaw, kto zostanie mistrzem.

C18 to nie obchodziło.

Przyszła tu tylko dla pieniędzy. Nie dbała o miejsce, które zajmie, ani o tytuł, jaki to jej przyniesie – dobrze wiedziała kim są prawdziwi najsilniejsi wojownicy pod Słońcem i знаła swoje miejsce. Gdyby ktoś dobrze zapłacił – jak Satan swego czasu – podłożyłaby się i dała komuś zwyciężyć. Odkąd została matką, nawet nie sprawiało jej przyjemności uczestnictwo w pojedynkach... o ile w ogóle kiedyś to lubiła, a nie był to tylko imperatyw zaprogramowany przez Gero. Żadna wyższa motywacja nie kierowała nią... aż do teraz.

Wiedziała bowiem (choć spiker jeszcze tego nie ogłosił, igrając z emocjami zaciekawiony gawiedzi) z kim przyjdzie się jej zmierzyć.

- Przed państwem faworytka turnieju C18 oraz... Sauce Lee! – oznajmił w końcu prowadzący i wojownicy wkroczyli na arenę. Było akurat samo południe, słońce zawieszone i szczytu nieboskłonu piekło swoim żarem, zgromadzeni na widowni ludzie wykorzystywali każdy sposób, by się ochłodzić. W tych poszły podręczne wiatraczki, walizkowe klimatyzatory dostępne do wynajęcia przed wejściem, lody i zimne napoje, które sprzedawali spacerujący handlarze.

Zawodnicy nie mieli takiego komfortu. Stali naprzeciw siebie jak dwaj kowboje podczas pojedynku i czekali na znak. Brakowało jedynie błędzącego po arenie wyschniętego krzewu niesionego wiatrem, by scena wyglądała jak żywcem wycięta z westernu. Powietrze stało w bezruchu, Osiemnastka, w krótkim podkoszulku i z pożyczoną od starego przyjaciela chusta na głowie, oraz Sauce Lee, w masce i czarnym stroju szczelnie zakrywającym jego ciało. Można się tylko było domyślać, jak mogło być mu gorąco.

Obydwoje czekali na znak. Osiemnastka w napięciu, skupiona, gotową do wystrzału niczym pocisk czekający we wnętrzu lufy. O zamaskowanym wojowniku nic nie można było stwierdzić.

- Zapłacisz za to, co zrobiłeś Pan. – powiedziała na tyle głośno, by mieć pewność, że ją usłyszysz. – Ciesz się, że nie ma tu Goku. – dodała już ciszej, dla siebie.

Wiedziała, jak droga jest mu wnuczka. Odkąd na świecie pojawiła się Maron, poznała cały świat uczuć, o których nie miała wcześniej pojęcia. I pomyślała, że gdyby ktoś tak urządził jej córeczkę...

- Zaczynamy walkę! Do boju! – wrzasnął prowadzący i czmychnął z placu boju.

C18 ruszyła niczym huragan na swojego przeciwnika.

Uderzenie.

Szybkie, precyzyjne, wyciągniętą dłonią na płask, w miejsce, gdzie żuchwa spotyka kark. Blondwłosa kobieta-android była mistrzynią takich ciosów. Cała zaprogramowana wiedza z anatomii służyła temu, by wybierać takie miejsca i okazje by we nie trafić. Ręka wojowniczkę wystrzeliła niespodziewanie, zmierzając do celu.

Przeciwnik zablokował cios w ostatnim momencie. Chwycił ją za nadgarstek i przekręcił dłoń z taką siłą, że całe ciało Osiemnastki musiało zmienić położenie i teraz zamierzała na spotkanie z ziemią.

Zaatakowała więc nogami, wykręcając potężny młynek. Trafiłaby prosto w maskę przeciwnika, jednak ten puścił jej rękę i zasłonił się oburącz, by ją osłonić.

- Tak ci zależy, by nie pokazać twarzy, co? – mruknęła Osiemnastka, jakby coś podejrzewając, i przystąpiła do kolejnego ataku.

Wybiła się w powietrze z zamiarem wykonania wysokiego kopnięcia, jednak przeciwnik uprzedził jej zamiary i również wystrzelił w górę. Wymienili parę uderzeń, wirując wokół siebie w powietrzu, jednak nikt nie zadał czystego uderzenia.

- Ha! – zamarkowała cios Osiemnastka, w nadziei, że przeciwnik znów złapie jej dłoń. Udało się. Gdy pociągnął ją, drugą ręką chwyciła jego bark i podciągnawszy się mu niemu, zadała uderzenie głową.

Sauce Lee nie miał szans by tego uniknąć. Maską przyjęła cios aż zadźwięczała, bo – okazało się – wykonana była z jakiegoś rodzaju metalu... jednak wytrzymała uderzenie. C18 zamachnęła się drugi raz, ale w ostatniej chwili odskoczyła od zamaskowanego wojownika, wrywając szarpnięciem dłoń, której nie ścisnął już kurczowo.

Za szczelin maski wystrzeliły dwie ledwie widoczne strużki światła, które o włos ominęły C18 i uderzyły w posadzkę. Nic się nie stało. Żadnego wybuchu, żadnego pęknięcia. To był blef.

- Już rozumiem. – kobieta uśmiechnęła się pod nosem i znów ruszyła ku rywalowi.

Z pierwszego, zarezerwowanego dla zawodników, rządu trybun mała Pan bacznie przypatrywała się walce. Śledząc ruchy Osiemnastki i jak przeciwnika próbowała nauczyć się jak najwięcej... mimo, że nie zawsze dostrzegała wszystkie ciosy i uniki. Zwykli widzowie mieli jeszcze większy problem, jednak nawet, gdy nie dostrzegali wszystkiego, ciągle zwroty akcji, kiedy zdawało się, że szala zwycięstwa przechyla się na którąś stronę.

- Niesamowite. – zachwycała się dziewczynka, mając nadzieję, że kiedyś będzie tak samo dobrą wojowniczką. Jednocześnie uświadomiła sobie, że z obydwójkiem nie miałyby szans... chyba, że pomogłyby jej nowe siły, których jeszcze nie przetestowała.

Tymczasem walczący znów utknęli w kłinczu.

- Myślisz, że pokonasz mnie bez transformacji? – zapytała C18 przeciwnika, wykorzystując impas do wymiany paru zdań.

Sauce Lee jednak nie odezwał się, a maska nic nie wyrażała.

- Ukryłeś jakoś swoją ki –kontynuowała – ale mnie nie zwiedzisz. Byłam zaprogramowana, by ciebie odnaleźć i zabić. Rozpoznam cię nawet w masce... Goku.

Gdy wypowiedziała to imię, wojownik rozluźnił uścisk. Wykorzystała moment zaskoczenia i zadała mu potężny cios oburącz w tułów. Rozproszony, bez postawionej gardy, wojownik nie zareagował i siłą ciosu pchnęła to daleko, aż mu krańcom pola walki.

Jedno wielkie westchnięcie wydarło się z setek gardeł. Publiczność zamarła na chwilę, niektórym aż pospadały z wrażenia lody i wypadły z rąk napoje.

Sauce Lee był poza ringiem.

Niemalże.

Jedyna stopa, na której stał, w całości znajdowała się w obrębie wyznaczonego pola. Walcząc z siłą pędu, coraz wolniej opadał ku ziemi, której dotyk oznaczałby przegraną. Wygiął się niczym tancerz limbo.

I zawisł o centymetry nad powierzchnią, po czym wyprostował się jak sprężyna... I w jednej sekundzie znalazł się przy przeciwnicze.

- Musisz mi coś obiecać. – zagadnął, kiedy wymieniali ciosy. – Jeśli cię pokonam, nie zdradzisz kim jestem.

- Nie wiem czemu to robisz. – odpowiedziała między ciosem a kontrą. – Ale jeśli myślisz, że pójdziesz tobie ze mną tak łatwo bez zdemaskowania... Umowa stoi. Byle szybko, nim się rozmyślę. – zadrwiła.

- Szybko. – powtórzył. – W takim razie wybac. Saisho wa gu... Jan! Ken! PON!

Nie wiedziała, jak to dokładnie się stało.

Żaden z ciosów jej nie sięgnął. Jakby celowo nie trafiał, tylko droczył się z nią. Dostrzegła tylko nikły poblask aury wokół jego dłoni i... stało się. W jednej chwili stała pewnie na ziemi, gotowa odpierać jego ataki, zaś w drugiej nie wiedziała gdzie jest góra a gdzie dół. Świat zawirował i straciła poczucie kierunku. Uprzytomniła sobie, że w jakiś niezrozumiały sposób utrzymuje się głową w dół, choć sama nie lewitowała i wtedy...

- Narka! – zawołał i wymierzył potężnego kopniaka z półobrotu prosto w jej plecy.

Nim doszła na dobre do siebie i świat odzyskał kierunki, leżała już poza areną, tuż przy miejscu, które zajmowała mała Pan. Dziewczynka przypatrywała się jej, nie mogąc uwierzyć, że C18 dała się tak łatwo pokonać.

Publiczność aż podarowała się z krzesel, zupełnie wstrząśnięta. Wszyscy byli pełni ekscytacji i typowej dla widzów sportu adrenaliny. Spiker wyskoczył na ring, by formalnie obwieścić wynik starcia.

- Pamiętaj! – krzyknął jeszcze na koniec, kiedy już wstawiała i zszedł z areny.

- Auu! - jęknęła, gdy kolejny raz uderzyła w niewidoczną przeszkodę, gdy ciągnęli ją poprzez ciasne korytarze głęboko wewnątrz podziemnych ruin w odległej od domu galaktyce. –

Uważalibyście, głupki!

Porywacze zatrzymali się gwałtownie. Dende idący z tyłu, któremu również zarzucili czarny worek na głowę, wpadł na nią i omal się obydwójce nie przewrócili.

Nie było to na szczęście tak bolesne spotkanie jak ich pierwszy upadek, kiedy zatrzęsł się grunt pod ich stopami a jaskinię wypełnił huk niczym trwająca w oddali podziemna burza.

Wtedy zderzyli się ze sobą i z podłożem, gdy czmychający porywacze wlekli ich na postronkach.

- Jak myślisz, czego od nas chcą? – zapytała ukradkiem.

- Nie mam pojęcia. – odparł – Może niczego. Po prostu nie chcieli nas zabijać.

Usłyszeli jakiś nowy głos i ręce porywaczy pochwyciły ich i cisnęły w przestrzeń. Obydwoje potknęli się na stopniu i upadli.

- Musimy grać na czas, póki nasi nas nie znajdą. – szepnęła.

- O ile znajdą. – odburknął zrezygnowany.

- Zdejmijcie im to. – znów odezwał się władczy głos i duszące, uniemożliwiające widzenie worki zniknęły z ich głów. Wreszcie mogli się rozejrzeć. Nikt im tego nie utrudniał, tak samo jak ich oprawcy nie ukrywali własnych twarzy.

Było w wielkiej, zdobionej rzeźbami, jak wszystkie inne poprzecinanej systemem rur zasilających żółte światła, jaskini. Była pełna Nameczan.

Nowych Nameczan.

Jeden z nich siedział na szczycie schodów, na podwyższeniu przed nimi, na kamiennej ławie, która służyła mu za tron. Nad nim znajdowała się ogromna, sięgająca szczytu jaskini, statua demona – jak nazywali ich Bulma i Dende - z pradawnej tutejszej rasy.

Z fizjonomia kosmitów zdążyli zapoznać się już wcześniej i budziła odrazę. Spłaszczony nos i ukryte pod aktywnymi lukami brązowymi, niewielkie, gniewne, świdrujące ślepie uzupełniała masywna żuchwa i wystające siekacze, które wykrzywiały usta uwiecznionego w kamieniu stwora w nieprzyjaznym grymasie. Do tego czteropalce kończyny zakończone krótkimi, grubymi pazurami... i ten strój, którego elementy wystylizowano na fragmenty szkieletu. Długi płaszcz, w tułowi poprzecinanej imitacją żeber i mostka, ramiona okryte kośćmi, pas, który wieńczyła uformowana w czaszkę klamra. Wszystko to było tak odrażające i przesadzone, że aż groteskowe.

Siedzący i stóp posągu Nameczanin był ubrany dokładnie tak samo.

- Kule. – rzekł tylko jedno słowo, a z tłumu wystąpiło kilku, których Dende i Bulma rozpoznali jako porywaczy, i płożyło na stopniach piedestału siedem smoczyc kul.

- Mają wszystkie. – odezwała się zaskoczona Bulma.

- Czemu to robicie?! – krzyknął Dende. – Po co to wszystko? Przecież jesteście Nameczanami!

- Dobrze, że pytasz. – przywódca grupy zszedł z ławy i stanął przy nich, uśmiechając się. – Mój plan zaraz się wypełni, więc warto, by chociaż jeden z... was – spojrzał na Dende z pogardą – poznał jego sens i znaczenie.

- Was? – zapytał Dende.

- Was. – podkreślił tamten. – Starych Nameczan.

- Przecież jesteśmy jak bracia! – zdenerwował się Dende. – Nad wszystkimi czuwa Najstarszy i...

- I tu się mylisz – przywódca bandy nachylił się nad nim. – Choć z zewnątrz przypominamy siebie wzajemnie, tak naprawdę jesteśmy bardzo różni...

- Nie przerywaj mu. – syknęła Bulma. – Im dłużej gada, tym lepiej dla nas.

- Kierują nami różne pobudki i pragnienia – kontynuował, chyba w ogóle nie zdając sobie sprawy, że Bulma coś mówiła – Pierwszą rzeczą, która przychodzi na myśl i jest fundamentem

tego, jak bardzo się różniliśmy – zaczął się przechadzać i przyjął ton wykładowcy.

Niebieskowłosa naukowiec знаła taki typ. Aroganci, zadufani w sobie, przekonani i własnym geniuszu szowiniści postępowali dokładnie tak samo. – jest nasz temperament. Starzy Nameczanie, mimo, że na pozór żyją, tak naprawdę są martwi w środku. Nie ma w nich żądy przygód, niczego nie chcą zmieniać, do niczego nie dążą. Tylko uśmiech losu sprawił, że udało się im przetrwać tak długo, nie zostając podbitymi – mówił płynnie, trochę pośpiesznie, jakby wygłaszał przygotowaną przemowę... Bulma domyślała się, że pewnie wielokrotnie wygłaszał ją sam przed sobą.

– Stracili za to planetę. – kontynuował. – Jednak dzięki temu – uśmiechnął się złowieszczo – Mieliśmy szansę pojawić się my. Następny etap w ewolucji gatunku!

Podeksytowany własnymi słowami wartkim krokiem kręcił się po podwyższeniu. Ubrany w sposób w ogóle nieprzystający do Nameczan rzeczywiście sprawiał wrażenie przedstawiciela zupełnie innej rasy, zaś statua za nim i przedziwna gra światła słabo oświetlonego wnętrza sprawiały, że wyglądał jak jeden z rogatych demonów, które obserwowali wcześniej na nagraniu.

Nawet przemowę, choć wygłaszana w zupełnie innym języku, wydawała im się dziwnie podobna. Zupełnie, jakby kolejny raz na tym samym globie miała powtórzyć się historia...

- Co masz zamiar zrobić? – przerwała milczenie Bulma. – Pozbyć się starszego pokolenia? Pozbyć się Najstarszego, przywódcy was wszystkich?

Pobiegł do niej, jakby zdziwiony i urażony tym, że w ogóle zabrała głos.

- To JA jestem Najstarszym! – zagrmiał. – Ja jestem przywódcą! – zbliżył się na tyle, że mogła dostrzec pulsującą żyłkę na jego skroni i szaleństwo w oczach.

Zdecydowanie był ostatnią osobą, którą chciała denerwować. Nie, żeby się go bała.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby tylko spadł jej włos z głowy, Vegeta rozniósłby tę planetę w gwiazdny pył. Do tego mieli ziemskie smocze kule. Po prostu wołała nie przekonywać się na własnej skórze jak wyglądają zaświaty.

- Ja jestem pierwszym z nowego gatunku. – kontynuował już spokojnym tonem, wyćwiczonym w dziesiątkach wygłoszonych do siebie tyrad. – Pierwszym, który urodził się na tej planecie. Rozumiesz znaczenie tego faktu? – zapytał poetycko i dokonał wymownie pauzy.

Porwani doskonale jednak już wiedzieli, że nieznanemu z imienia przywódcy spływającej się w podziemiach bandy nie należy odpowiadać. On prowadził dialog sam ze sobą i był w tym... zaskakująco ludzki, jak ujął to Dende w myślach. Rzeczywiście, mimo podobieństwa zewnętrznego, nie było w nim nic z Nameczanina.

Tak, jak w innym zrodzonym poza Namek przedstawicieli tej rasy.

Piccolo Daimao.

Słyszał o nim od swoich przyjaciół, gdy poznawał historię poprzedniego Wszechmogącego. To podobieństwo nie wróżyło pomyślnie.

Na szczęście nie wyglądał na przeciwnika dla Gotena czy Trunksa, czy nawet dla Piccolo.

Dlatego musieli przeżyć, aż ich znajdą.

...o ile znajdą.

- Nameczanie posiadają szczególną więź z Najstarszym spośród siebie. – rozsiadł się na ławie kontynuował, wyglądając jakby prowadził lekcje w szkółce. – Ty, kosmito najpewniej nic o tym nie wiesz, ale twój zielony przyjaciel zna to doskonale. – spojrzał na Bulmę z pogardą, wypływającą z samego faktu, że jest istotą innego rodzaju. – Wydawać się może, że to element tradycji, kultury Nameczan. Ale nie. Ta więź sięga dużo głębiej. Jest zapisana w genach. Ślepe posłuszeństwo, brak własnego ja, zero rozwoju: tacy są Nameczanie, bo są pod władzą Najstarszego! Ale nie my! Nie oni wszyscy tutaj!

Wskazał teatralnym gestem na zebranych wśród ruin, którzy odpowiedzieli gromkim okrzykiem. Młode pokolenie znanych jako pokojową nację Nameczan w bojowym okrzyku wśród szczątków cywilizacji, która przypominała w każdym fragmencie pogromcę ich rasy. Było w tym coś makabrycznego.

- Kiedy pojawiło się pierwsze pokolenie zrodzone na tej planecie – znów posługiwał się spokojnym tonem wykładowcy – okazało się, że zapisaną w genach informację można oszukać. Długo zastanawiałem się nad tym, dlaczego tak się stało. – opowiadał dalej, niczym prawdziwy intelektualista snuł swoje rozważania. Nic dziwnego, pomyślała Bulma, psychopaci są zazwyczaj inteligentni. – Aż doszedłem do wniosku, że dzięki tym subtelным różnicom, które wywołała na nas Nowa planeta, instynkt Nowych Nameczan nie identyfikował starych jako tej samej rasy. Dlatego więź między nimi a Najstarszym zrodziła się... ze mną. Pierwszym Nameczaninem, który przyszedł na świat na tej planecie! – wyprostował się dumnie, celebrując chwilę swojego triumfu.

Bulma była skonfundowana. Nigdy nie interesowała jej historia i psychika Nameczan. Zbierała wszystkie fragmenty układanki w jedno... ale Dende wiedział już, co to wszystko oznacza.

Pod kontrolą tego szaleńca było całe nowe pokolenie.

I będą przysze.

To oznacza, że koniec Nameczan, jakich znał jest bliski. To oznacza, że zniknie resztkę jego domu – tak jak zniknęła ich planeta.

Prędzej czy później musi do tego dojść. Nieuchronnie.

I nie mogą zrobić nic, by to powstrzymać.

C18 westchnęła ciężko. Że też dała się tak zrobić!

Uwaga niemal wszystkich wokół skupiała się na zamaskowanym wojowniku, który pokonał ją w walce przy użyciu dziwnej techniki, jakiej jeszcze nigdy nie wiedzieli. Nie mogła opędzić się od pytań. Kim, sądzi, że jest? Co mówił? Jak może być silny? I najgorsze: jak to się stało, że tak szybko przegrała?

Miała już tego serdecznie dosyć. Nie, żeby porażka ukuła jej poczucie dumy, ani, że nienawidziła kłamać, a obiecała Goku nie wyjawiać jego tajemnicy – po prostu nie znośiła być w centrum uwagi... do tego wszyscy przypominali jej, że przez przegraną pieniądze przeszły jej koło nosa.

Tylko Gohan jej nie napastował – za to wydawał się dziwnie zamyślony, jednak najwyraźniej powodem tego nie była obecność na turnieju Goku w przebraniu.

- Zaraz kolejna walka. – wtrącił się, ku radości Osiemnastka, która mogła złapać chwilę wytchnienia. – Pan, powinnaś się przygotować.

- Będę walczyć z wujkiem Tienem. – uśmiechnęła się.

- O tym mówię. – spojrzał na nią i uśmiechnął się. – Tenshinhan poszedł już jakiś czas temu. –

dodał. – To już półfinał. – przykucnął przy córce. – Zaszłaś bardzo daleko, moja mała. -

pogłaskał ją po głowie. –Jestem z ciebie naprawdę dumny, bez względu na wynik walki.

- Dam z siebie wszystko! – zadeklarowała śmiało i pobiegła do miejsca przygotowań.

- Trzeba zająć dobre miejsca! –przejął się Yamcha zaraz po odejściu Pan i zniknęli razem z Oolongiem.

Wkrótce coś odciągnęło także Videl i Chi-Chi, zaś nieodstępujący żony na krok Krillan uległ prośbom małej Maron i zabrał ją w stronę sprzedawcy popcornu.

Zostali we dwójkę.

- Dzięki. – westchnęła. – Kolejne pytania i chyba bym...

- Pewnie sam cię o to poprosił, ale nie musisz przede mną udawać. –wtrącił w pół jej zdania. – Sam na to wpadłem. To zupełnie w jego stylu.

Zaśmiali się razem dyskretnie.

- Chodźmy, bo walka nas ominie. – odpowiedziała w końcu, nie kontynuując tematu i ruszyli w stronę trybun.

Na widowni, a także przed telebimami, w każdej knajpie, na każdym placu – wszędzie, gdzie można było obejrzeć przebieg walki, panował tłok. Wszystkie atrakcje poza walką turniejową zostały wstrzymane, bo i nie było chętnych, by brać w nich udział.

Za chwilę pojedynek rozstrzygnie, kto trafi do finału.

- Witaaam Panstwaaaa! – wrzasnął podekscytowany komentator. –Turniej powoli zbliża się ku końcowi, jednak największe emocje dopiero przed nami! Na tym etapie wszyscy... – zerknął w stronę odzianego w lateksowy przyciasny strój mięśniaka, który kompletnie niczym się nie wykazał, jednak łut szczęścia pozwolił mu dotrzeć tak wysoko, by z kolejnej walce ponieść pewną porażkę z tajemniczym Sauce Lee – prawie wszyscy wojownicy mogą okazać się zwycięzcami! Mamy przed sobą najlepszych z najlepszych, którzy zmierzą się w ostatnich starciach, by rozstrzygnąć, kto zdobędzie tytuł Najwspanialszego pod Słońcem Mistrza Sztuk Walki! – rozemocjonowany tłum odpowiedział aplauzem. Atmosfera udzielała się samemu prowadzącemu, który skakał po arenie i przyjmował najdziwniejsze pozy, starając się przy tym mówić zwrócony we wszystkie kierunki jednocześnie. – Pojedynek, który za chwilę rozegra się na państwa oczach jest szczególnie wart uwagi! Tu mądrość i doświadczenie zmierzą się z młodzieńczym duchem i zapałem! W jednym narożniku weteran turnieju, który wrócił po długiej przerwie silny jak nigdy dotąd, mimo swojego wieku, Tenshinhan! Po drugiej stronie młoda, za to nieustępliwa wnuczka wielokrotnego mistrza, najsilniejszego człowieka na świecie, Pan!

Gdy zawodnicy wyszli na plac boju, towarzyszyły im gwizdy, okrzyki i gromkie brawa.

Pan zaczynała już się do tego przyzwyczajać i sprawiało jej to pewną przyjemność.

Szczególnie, gdy ludzie których nie znała skandowali jej imię i oddawali otuchy.

Tenshinhan był za to niestrudzony, kompletnie mi przywiązywał do tego wagi. Wyszedł na arenę, skupiony, gotowy do walki. Trzecie oko pozostawało uśpione, jak w trakcie wszystkich jego walk w tym turnieju.

Podeszli na środek by uścisnąć sobie dłonie.

- Cieszę się na naszą walkę, wujku! –zagadnęła go z uśmiechem.

- Lepiej zapomnij, że mnie znasz, na czas walki. I daj z siebie wszystko. – powiedział poważnie. – Nie potraktuje cię ulgowo.

Dziewczynka również spoważniała i kiwnęła głową.

Po uścisku dłoni rozeszli się w dwa przeciwległe narożniki, spiker dał znak i...

Zaczęło się.

Pierwsza zaatakowała Pan. Skoczyła ku Tenshinhanowi, wyciągając sylwetkę w prostym i zabójczo szybkim kopnięciu. Cios jednak był zbyt łatwy do odczytania dla tak doświadczonego wojownika. Tien uchylił się nieznacznie, tak, by rozpędzona stopa Pan minęła go o centymetry. I trzasnął odsłoniętą dziewczynkę w potylicę.

Pan aż zahuczało w czaszce, a siła ciosu porwała ją daleko w kierunku skraju pola, jednak mała wojowniczką szybko odzyskała kontrolę nad swoim ciałem, wywinęła fikołka w powietrzu i odbiwszy się jedną dłonią od podłoża, znów pomknęła ku przeciwnikowi.

Tym razem była ostrożniejsza i zmieniła strategię. Nim jednak zdążyła wcielić w życie swój plan i zamarkować uderzenie z góry, by złapać Tiena i założyć mu klamrę, ten zmienił pozycję i ustawił gardę dokładnie tak, by jej to uniemożliwić.

Kopnęła z półobrotu, dobrze wiedząc, że to obroni, po czym odskoczyła od niego i zaatakowała lewym prostym, prawą rękę trzymając nisko. Tien nie złapał się w pułapkę i rozpoczęli wymianę ciosów, w nadziei, że czyjaś szybkość przeważy, lub któreś wykona błąd i odsłoni się na czysty cios.

Walczyli jak równy z równym, naprzemian wprowadzając uderzenia, parując ataki, robiąc uniki, przechodząc do kontrataków. Wykonywali przy tym prawdziwe akrobacje, niczym para tancerzy.

Publiczność była wniebowzięta.

- Całkiem nieźle. – skomentował trójki wojownik. – Jesteś szybsza, niż przy ostatniej walce.

Pan uśmiechnęła się słysząc pochwałę (rzeczywiście, jej szybkość wzrosła, że też sama tego nie zauważyła) i... niski jak w podbródek ominął jej garde akurat w chwili, gdy na chwilę straciła czujność. Nie mogła już zareagować i cios dobiegł celu.

Kolejny raz mała wojowniczką znalazła się niebezpiecznie blisko skraju pola walki i znów odbiła się jak sprężyna i przystąpiła do natychmiastowego ataku.

Zawodnicy znów zwarli się w huraganu ciosów, zanosilo się jednak na to, że będzie to pojedynek na kondycję. Pan była bardzo ostrożna, gwałtowna w ataku i szybka w obronie,

zdawać by się mogło, że posiada inicjatywę... ale wtedy to zrozumiała. To ona poświęca energię, by doprowadzić do sytuacji, w której Tien się odsłoni. Ona zasypuje to gradem ciosów. On za to jedynie czeka na okazję. Doskonale zna jej ruchy i potrafi się przed nią bronić, a gdy tylko Pan – nawet nieznacznie – osłabnie, wykorzysta przewagę i ją pokona. Musiała coś zmienić.

I to szybko, nim on się zorientuje.

Postanowiła ZARYZYKOWAĆ.

Wystrzeliła zamaszysty sierpowy w tułów przeciwnika, odsłoniwszy przy tym gardę. Wiedziała, że Tenshinhan wykorzysta okazję, by ją zaatakować i... pogodziła się z tym. Jedynym sposobem, by jego zranić, było pozwolić, by on zranił ją – i sprawdzić, kto bije celniej i mocniej.

Odegnała wołanie instynktu, który chciał uniknąć bólu – i tak nic gorszego niż w walce z zamaskowanym wojownikiem jej nie spotka. Odsłoniła się i... dała się uderzyć. Pięść Tenshinhana natarła na jej klatkę piersiową, wybijając powietrze z płuc, ale wytrzymała to. Zaparła się stopą o podłogę, wybiła lekko do góry, wyciągnęła ramię wysoki, nie zważając na ból i z sierpowego w tułów jej cios zmienił się w zamaszysty hak. Uderzyła!

Głowa trójokiego mężczyzny odleciała do tyłu, zachwiał się w nogach, niemal upadł. Oddała mu pięknym za nadobne. Wykorzystując szansę, zaatakowała ponownie. Niestety, bok – tam, gdzie trafiła pięść Tiena - nadal ją ćmił i cios zwolnił, akurat na tyle, by ten otrząsnął się i wykonał unik.

...a potem zaatakował. Drugi raz w to samo miejsce.

Pan odparła cios, wprowadziła nawet szybką kontrę i grad pięści spadł na jej przeciwnika, ale ten nie postanowił się bronić. Uderzył kolejny raz, szybciej i mocniej, a gdy go odparła, staranował ją ciałem i wbił jej kuksańca prosto w obolałe żebra. Usłyszała trzask i padła na ziemię.

Nad nią stał w rozkroku Tenshinhan. Posiniaczony, krwawiący ze starych blizn, które się otworzyły. Duszach, z twarzą ściągniętą bólem.

Triumfował nad nią.

- Nieźle, naprawdę nieźle. – wysapał. – Niebawem mnie przewyższysz, wiem to. Może w następnym roku...

Nie widziała, co w niej to obudziło.

To był jej wujek Tien. Zafundował jej świetną, pouczającą walkę. Tata już był z niej dumny. Pokazała swoją wielką siłę. Kolejnej walki, tej z Sauce Lee, nie mogła wygrać...

Ogarnęła ją wściekłość.

Aura Pan rozpalila powietrze do czerwoności, ją samą upodabniając do żywej pochodni. Betonowe płyty, na których leżała, zaczęły pękać.

- Arrrrrrhhh! – bezwiednie wydarło się z jej gardła, kiedy nie zważając na nic, ani na ból, ani na obrażenia, ani na strategię, dopadła do Tenshinhana.

I zaczęła go bić.

Starął się odpierać jej ataki, jednak miał do czynienia z wcieloną furją, która za nic miała sobie własne bezpieczeństwo. Nie było w niej już strachu, który pozwalał bez trudu przewidzieć jej kolejne poczynania. Zachowywała się raczej jak dzikie, rozjuszone zwierzę. Do tego była szybsza i silniejsza niż przed chwilą. Atakowała wściekle i nieustannie, aż zaczął się cofać. Wyglądało na to, że jest w nie lada kłopotach. Z jednej strony nie chciał przegrać tej walki, z drugiej... każde rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy, mogło skończyć się źle dla ich obu. Koniec areny zbliżał się do jego pleców, a mała walkiria przed nim wydawała się niezmordowana.

- Chciałem to zachować do finału. – syknął poirytowany.

A potem otworzył oko.